Kraków, 26-go lipca 1914 r.

Rok 10. Nr. 15.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 30.

Dzieci kochane!

Miła to rzecz wakacye! Nieprawdaż? Nie trzeba się rano spieszyć do szkoły, można się wyspać dowoli, wybawić, wybiegać na świeżem powietrzu. Nie trzeba ślęczeć nad książką ani mozolić się nad trudnem zadaniem. — Dobra to rzecz — ale czy doprawdy cały czas wakacyjny trzeba przepróżnować? Niech was dzieci Bóg uchowa od próżnowania, bo ono jest zródłem wszystkiego złego. Jakto — zawołacie — czyż i we wakacye mamy się uczyć? Nie — ale nie bądźcie nigdy bez zajęcia. Jakie to będzie zajęcie — wszystko jedno — byle nie było złe, grzeszne, n. p. kłótnia, albo kradzież, albo wyrządzanie szkody w polu, czy ogrodzie, czy w domu.

Pierwszem zajęciem waszem co dnia niech będzie żwawo wstać z łóżka, nie wylegiwać się w niem, gdy już nie śpicie, bo to niezdrowo i nieładnie. Po obudzeniu przeżegnać się, ofiarować cały dzień Panu Bogu, a potem umyć się i uczesać tak dokładnie i porządnie, jakbyście miały iść do szkłoły. Brzydki to próżniak, który, gdy nie idzie do szkoły, to się już ani czesać ani myć nie chce, chyba w niedzielę, a w dzień powszedni chodzi brudny i rozczochrany. Gdyście ubrane, nie zapomnijcie o pacierzu, odmówcie go bardzo uważnie, pobożnie a choćby i dłużej się pomódlcie, bo czas macie i nie trzeba się do szkoły śpieszyć. Pamiętajcie o tem całe życie, że tak zwykle człowiek umiera, jak żyje, a tak żyje jak się modli. Kto się pobożnie

modli, ten i żyje dobrze, i dobrze umrze, to znaczy pójdzie po śmierci do nieba.

Czem się macie zająć przez cały dzień? Nietrudna to rzecz, gdy jest pogoda. Dzieci biegną na podwórze, łąkę, w pole, czy do lasu — bawią się, skaczą, śpiewają, zrywają kwiaty, robią wieńce, bukiety, i uganiają za motylami, zbierają jagody i grzyby. Dobre to zajęcia. Jeszcze lepsze zajęcie, gdy dziecko dopomaga niem rodzicom n. p. zbiera i znosi trzaski na ogień, zamiecie izbę i podwórko, popędzi i dopilnuje gęsi na polu, czy bydełka na pastwisku, zabawi młodsze rodzeństwo, zaniesie żeńcom w pole pożywienie, pomoże grabić siano, podaje snopki przy zwózce.

Ale co robić, jak się zająć w dzień słotny? Czy chodzić z kąta w kąt i ziewać? Czy siedzieć z założonemi rękami albo stać przy oknie i dzwonić palcami w szybę? O, to byłoby próżniactwo. To może psoty wymyślać, dokuczać młodszym, przeszkadzać starszym? To byłoby złe zajęcie. Więc czem się zająć? Czem? Weź książkę, poczytaj, przepisz jaki ustęp, powtórz sobie jaki wierszyk, dawniej wyznaczony lub tabliczkę mnożenia. Gdy masz rodzeństwo, bawcie się w szkołę, jeden niech pyta, inne niech odpowiadają. Dziewczynki niech szyją dla lalki, chłopcy niech co strugają z patyków i trzasek. Nie zawadzi i chłopcu, gdy weźmie igłę do ręki i popróbuje szyć. Niejednemu przyda się to potem w życiu i błogosławić będzie tę chwilę, kiedy się szyć nauczył. Rysujcie sobie, gdy deszcz pada, wycinajcie figurki z papieru, miejcie trochę gliny na miseczce i próbujcie lepić z niej rożne przedmioty, puszczajcie bańki mydlane. Gdy to starszym nie przeszkadza, śpiewajcie pobożne i świeckie piosenki. Czy deszcz, czy pogoda, bądźcie dzieci zawsze zajęte, nigdy nie próżnujcie!

PLISZKI.

(Ciąg dalszy.)

A teraz, gdy domek był gotów, natychmiast zacznie. Zanim rozpocznie wysiadywanie, będzie codziennie odwie-

działa swoje młode, ale czasu nie ma wiele, więc niech się samodzielnie postarają urządzić jaknajlepiej.

Minęło kilka dni, podczas których samczyk całemi godzinami siedział samotnie u otworu, prowadzącego do gniazda w szopie i świegotał. A gronostaj co chwila wyzierał ze swej kryjówki i śledził go.

— Dość się tam jaj uzbiera — myślał w duchu szkodnik — teraz należy tylko doczekać się takiej chwili, gdy obie pliszki jednocześnie wyfruną odświeżyć się trochę w lesie. Wtedy wdrapię się na dach i odbiorę parę sztuk. Złożą ich pewnie wiele, a takie głupie ptaszki nie są wprawne w rachunkach i składać będą dopóty, dopóki się gniazdko nie zapełni.

Wreszcie któregoś dnia zauważył, iż w owym czasie, gdy samiec zwykł był samotnie siedzieć, wyfrunęły razem na sąsiednie pastwisko. Natychmiast wyślizgnął się z nory, przeskoczył płot, wdrapał się na dach i dostał do wnętrza szopy.

Czy widział kto coś podobnego? Otwór istniał, ale gniazda ani śladu! Oszukały go najwyraźniej, wyprowadziły w pole! Prędko rozejrzał się po rozmaitych kącikach dachu, zsunął się w dół i zaledwie zdążył przeskoczyć płot, kiedy już pliszki siedziały znowu na szczycie dachu, kołysząc się wesoło. Gronostaj powąchał furtkę płotu, udając obojętnego, jak gdyby myślał o zupełnie innych sprawach, bynajmniej nie o dachu. Czy aby przypadkiem ptaki nie zauważyły czego? Bądź co bądź i on postara się urządzić sobie maleńki otwór po przeciwnej stronie stosu, skądby mógł widzieć, dokąd też pofruną, gdy wylecą z szopy.

Tymczasem nadeszły dni, w których nigdy nie widział ich obojga razem, zawsze wylatywały pojedyńczo. Prawdopodobnie jedno z nich spoczywało na jajkach. Poznały widocznie, że tu węszył.

Gronostaj myślał, przemyśliwał, uważał i czatował wiele dni z rzędu, ale zawsze bez skutku.

Jednego poranka nagle zaszły duże zmiany na pastwisku. Zapanowało tam życie i ruch, hałas i gwar. Zjawiły się bowiem trzody z nizin, przywędrowali na lato pasterze krowy, owce i kozy.

Gronostaj przemykał się po dobrze sobie znanych ścieżynkach. To życie i gwar wokoło wydały mu się bardzo miłem urozmaiceniem dotychczasowej ciszy. Wiedział dobrze, że przybysze nie mieli z sobą kota, mógł więc być spokojnym co do osobistego bezpieczeństwa. A właśnie teraz nadchodziła pora, gdy można było niejedną rybę złowić, a rybę lubił nadewszystko.

Natomiast pliszki niezupełnie były zadowolone, że wybrały oborę na mieszkanie. Było tam trochę niespokojnie, trochę zbyt głośno. Kto wie, co mogło się zdarzyć!

Kiedy pierwszego wieczoru zabrano się do uwiązywania bydła do żłobów, ptaszęta baczną zwracały uwagę na wszystko. Samczyk ułożył się cichutko w gniazdku na jajkach, zaś samiczka ukryta w dziurze pomiędzy dwiema belkami, pilnie przyglądała się temu, co się działo wewnątrz i zewnątrz obory.

Hałas był zrazu wielki, bo wszystkie krowy natychmiast trafiały na zeszłoroczne miejsca, a wielki wół, stojący zwykle pod okienkiem, wpadł z takim łoskotem, że aż rogami uderzył w ścianę. Cały budynek zatrząsł się i pliszki zadrżały na chwilę czy aby korytko nie zleci; ale trzymało się mocno, nie było się czego obawiać.

Uciszyły się wreszcie zupełnie i były pewne, że wszystko minie spokojnie. Lecz nagle, zanim zdążyły jeszcze zmiarkować o co chodzi, nadeszła starsza mleczarka i jakby wedle dawnego przyzwyczajenia sięgnęła ręką po korytko i zdjęła je. Pliszki zerwały się przestraszone, wydały jeden przeciągły świst i ze świegotem, pełnym przerażenia, poczęły krążyć tuż nad jej głową.

Teraz zrozumiały: było to naczynie do soli dla krów.

A tymczasem mleczarka spojrzała zdziwiona w górę i zajrzała ciekawie do korytka. Chwilę się namyślała, potem zawołała pastuszka, pokazała mu owe pięć jaj i coś rzekła. Ostrożnie uniosła korytko w górę, chcąc je postawić na miejscu; lecz rozmyśliła się i znowu rzekła coś do chłopca.

Natychmiast powrócił z pieńkiem, na którym siadywały dójki, stanął na nim i ostrożnie umieścił korytko wyżej, niż dotychczas się znajdowało.

Pliszki uradowały się tak bardzo, iż usiadłszy każda na brzegu gniazdka poczęły się kołysać w stronę mleczarki i świegotać wesoło, jakby jej chciały podziękować. Teraz mogły już być zupełnie spokojne o swe bezpieczeństwo, teraz kiedy sama mleczarka zabroniła je ruszać. Widziały też, że natychmiast postarała się o miskę do soli zamiast korytka.

Od tego czasu stało się jakoś milej, zaciszniej i obora odrazu zapełniła się owadami, tak, iż nie trzeba było nawet szukać ich na dworze. Tylko gronostaj nie powinien był jeszcze dowiedzieć się, gdzie przebywały.

Pogody były cudnie piękne, nęciło coś do lasu, na łąkę; samiczka zaś zaczęła bardzo tęsknić za swą córką. Wszakże była to owa pora, gdy u młodych miały się wylęgać pisklęta. Więc jednego dnia wyfrunęła na krótką chwilę z gniazda. I nie omyliła się: pisklęta były w istocie; leżały skulone, bez piórek, z rozwartemi dziobkami, wołając głośno o pożywienie. (Dokończenie nastąpi).

DWIE ŻABKI.

BAJKA.

Jedna żabka z drugą żabką,
W lesie się spotkały; —
Jedna miała modrą suknię,
Druga fraczek biały! —
Żabka w fraczku skłoniła się
Żabce w sukieneczce,
I spytała, czy nie zechce,
Zatańczyć troszeczkę!
Słyszysz! — rzekła: jak słowiki
Na multankach grają?
Aż serduszko się podnosi,
I nóżki w takt drgają! —
Na to żabka w sukieneczce
Głośno zakwakała:
Będę tańczyć, lecz nie w bagnie,
Bobym się zwalała! —

Jest tu źródło niedaleko,
W niem jak kryształ woda,
Na bagnisku pełno błota,
Więc mi sukni szkoda! —
Na te słowa, żabka w fraczku
Troszkę się skrzywiła,
O! — nie! rzekła, ja w źródełku,
Nie będę tańczyła! —
Jam się w bagnie urodziła,
Więc zatańczę w bagnie,
To mówiąc, skoczyła w błoto,
I usiadła na dnie!
Zabka w modrej sukieneczce,
Do źródełka wlazła,
W źródle była zimna woda,
Więc w niej śmierć znalazła!
Nocną porą na bagnisku,
Zabki się zebrały.
Rara! — rara! — rara! — rara! —
Tak sobie rechtały:
Niechże każdy ten kraj kocha,
W którym się narodzi,
Niech nie gardzi swą ojczyzną,
Bo to się nie godzi!

Wieś rodzinna.

Wieś rodzinna jest nam najmilsza, bo w niej najpierwej świat ujrzeliśmy, w niej pierwszy raz widzieliśmy, kwitnące drzewa, zielone łąki, płynącą wodę, nasze zwierzęta, jasne słońce i pogodne niebo. We wsi rodzinnej znamy każde drzewo, każdy kącik, każdą miedzę w roli.

W wiosce rodzinnej patrzymy codzień latem, jak pod wieczór owce z pola wracają, a owczarek im przygrywa, jak najedzone bydło ciągnie z pastwiska do domu, jak żniwiarze w sierpy dzwonią i wesoło wyśpiewują, wszystko nam we wsi rodzinnej najmilsze i najwięcej znajome. Miły nam ten kościołek, gdzie modlimy się tak często. miły dom

rodzinny, w którym pierwsze pobieramy nauki, miłe te pola na których pracujemy w pocie czoła.

Tak nam tu wszystko drogie, bo rodzinne, bo to znamy i kochamy.

To też i dziecku i siwemu staruszkowi nawet — najmilej zawsze w swojej wiosce rodzinnej.

Jakie zwierzęta żyją w naszych lasach.

Borsuk czyli **jaźwiec** (po niem. Dachs).

W pewnym lesie żyła rodzina borsuków. Była tam matka i troje małych. Cała rodzina była do siebie niezmiernie podobna: wszystko to było grube, krępe, na krótkich nóżkach, pokryte gęstym szaro-rudym włosem o głowie białej z dwoma czarnemi pręgami.

Najbliżsi sąsiedzi doskonale pamiętają te czasy, gdy przywędrowała tu borsukowa nieznana nikomu, onieśmielona w obcem miejscu zaczęła szukać miejsca na legowisko.

Długo chodziła po zaroślach, węszyła, nasłuchiwała, wreszcie upewniwszy się co do bezpieczeństwa obranego miejsca, zaczęła kopać. Pomimo silnych przednich łap o pięciu palcach, zakończonych mocnymi pazurami, pomimo niezmordowanej pracy zwierzę zwolna posuwało się w głąb ziemi, bo wciąż na przeszkodzie stawały korzenie drzew. Kiedy niekiedy dla wypoczynku i pokrzepienia sił, borsuk wybiegał w las i szukał pożywienia — a nietrudno mu je było znaleźć, bo lubi on zarówno rośliny, jak małe zwierzątka. Chrupał więc żołędzie, korzonki, jagody, owady a gdy się udało ułowić myszkę lub znaleźć na ziemi gniazdo ptasie z jajami, uważał to jako przysmak wielki.

W parę tygodni mieszkanie było już gotowe. Składało się ono z jamy obszernej, wysłanej mchem i liśćmi. Do jamy prowadziły dwa kurytarze, zwrócone otworami na południe, aby je dobrze nagrzewało słońce.

Teraz borsukowa żerowała po całych dniach w lesie Skutkiem tak dobrego apetytu wkrótce utyła bardzo.

Zwolna dni stawały się coraz krótsze i zimniejsze, z północy wiał ostry wicher, napędzając ciężkie śniegowe chmury.

Borsuk coraz rzadziej wysuwał się z jamy, wreszcie przestano go w lesie widywać.

Z początku dużo o tem było mowy między mieszkańcami lasu, robiono różne przypuszczenia — wreszcie jednak o borsuku zapomniano, a on tymczasem w głębi jamy spał już twardym snem zimowym, zagrzebany w mech i liście.

Wczesną wiosną, gdy śniegi zaczęły tajać, a z ziemi pierwsze kiełkować rośliny, stary zając, ogryzający z głodu korę drzewa, ujrzał naszego borsuka, wysuwającego się z nory.

Jakże, biedak, był teraz zmieniony! Przez zimę osłabł i wychudł nie do poznania.

Pozdrowił niedbale zająca i pobiegł w las szukać żeru.

Wkrótce potem ujrzano rzecz, która więcej jeszcze niż nagłe zjawienie się borsuka zadziwiła las.

Oto borsukowa szukała teraz w lesie ptasich jaj, owadów, robaczków i zanosiła to do legowiska.

Poco? Dla kogo?

Wreszcie jednego dnia tajemnica wyjawiła się.

Było to ciepłe wiosenne południe. Nad polami w górze dzwoniły już skowronki, a długodziobe boćki brodziły po łąkach. Las też już zwolna budził się do życia. Z jamy ostrożnie wysunęła się borsuczka i długo uważnie rozglądała się dokoła.

W lesie było cicho i spokojnie, żaden wróg zdawał się był nie czatować w pobliżu. Zwierzątko wysunęło się zupełnie; a wówczas tuż za niem ukazało się troje małych.

Hej! toż to była dla nich uciecha! wydostały się z dusznej, ciemnej jamy na przestwór i słońce — dalej więc figlować jak kociaki, a gonić się, a przewracać!

Dużo miała tego dnia borsukowa kłopotu, nim je zdołała zapędzić z powrotem do domu.

